

Julian Kornhauser

["Pośmiertne życie Konrada Wallenroda..."]

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (53), 171-175

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

-Żeleński wyraził obawę, w słynnej recenzji z *Zemsty*, o reakcję wnuków murarza: panowie się swarzą o mur, a kije dostaje murarz. Moglibyśmy dziś Boya uspokoić: nie wiem, jak z wnukami, ale prawnuki murarza nie solidaryzują się ze swoim przodkiem. Identyfikują się raczej z Cześniakiem, Rejentem i Waclawem, nawet z Papkinem – nie z murarzem; nie z tymi, których bito, ale z tymi, którzy bili. Szlachetczyzna stała się praojczyzną Polaków: nie wiem, czy to dobrze, ale to fakt. Z kim się identyfikuje chłopski czytelnik *Ogniem i mieczem*: ze sługą Rzędzianem (zresztą szlachetką), czy z jego panem, Skrzetuskim? Taka jest magia arcydzieł literatury. I to jest nowa szansa *Pana Tadeusza*.

Bo nie jest prawdą, że szansą tą, „obok liryków, cyklów sonetowych porażających poetycką genialnością”, jest „wzrastająca uwaga”, jaką „będziemy poświęcać Mickiewiczowi publicyście i profesorowi w Collège de France – jak pisze Alina Witkowska. – Nasze myślenie o wspólnej Europie, coraz bardziej przybierające kształty realne, było wszak wielką polityczną utopią Mickiewicza...”. Dobrze, było, ale kogo to obchodzi? To jest temat, zgoda, ale dla wąskiej grupy specjalistów, doktorantów, którzy będą czytać sami siebie. Mickiewiczowi, który zarabiał na rodzinę wykładami, zdarzało się mówić rzeczy, które drażniły ludzi o niezamąconym umyśle, Hercena na przykład. Najważniejsze, żeby nie ukatrupić Mickiewicza nową scholastyczną dłubaniną. Jeśli ktoś będzie sięgać do dzieł poety, to nie po to, by się dowiedzieć, co myślał o Unii Europejskiej. Sięgamy do niego, bo to był pierwszy Polak, który tak cudownie pisał, i to zrozumiałym dla wszystkich językiem. Potem było kilku innych, o których możemy się spierać. Ale on był pierwszy – i o to kłótni nie ma.

Julian Kornhauser

Pośmiertne życie Konrada Wallenroda. Adam Mickiewicz – człowiek. Studium psychologiczne. Zwłoki Mickiewicza. Makawelizm i imperatyw jawności. Zabijanie Mickiewicza... To tylko niektóre z ostatnich prac o naszym „wieszczu”, „Geniuszu”, „Mistrzu”. I jakże wymowne! Nie są to studia o twórczości, o niej napisano już tyle opasłych tomów, ale o nim samym, za życia i po śmierci. To niesamowite zainteresowanie w ostatnich latach osobą Mickiewicza, jego recepcją, rolą na emigracji i wśród towiańczyków wydaje mi się bardzo

symptomatyczne. Czyż przyczyn nie należy szukać w chęci, nie zawsze jeszcze do końca uświadomionej, nie tyle może odbrązowienia – to czyniono już wcześniej, z miernymi zresztą skutkami dla społecznego odbioru – ile zracjonalizowania całego dorobku literackiego kanonicznego Romantyka i podkreślenia ważności Osoby, a nie dzieła?

Też tak myślę. Największy romantyk? Zapewne, ale jako Postać – działacz polityczny i filozof, podróżnik i polihistor, profesor i legionista, konspirator i miłośnik kobiet, Ojciec emigracji i ojciec sześciorga dzieci, uduchowiony mesjanista i konsekwentny redaktor, tłumacz-adaptator i słowianofil, wielbiciel Wschodu i wolterianista, a nie Artysta. Talentem poetyckim przerastali go Słowacki, Norwid i Krasiński, także rozległością dzieł. Osobowość miał nieporównanie większą, bogatszą, bardziej rozwichrzoną. Ale ile dzieł napisał naprawdę wielkich? Policzmy: *Sonetny krymskie*, kilka ballad (z *Ballad i romansów* i z okresu późniejszego), liryki lozańskie (kilka wierszy), parę wierszy powstańczych, dwie powieści poetyckie (*Konrad Wallenrod* i *Grażyna*, bo już nie *Giaur*), *Dziady* i *Pan Tadeusz*. To wszystko. Reszta to w większości ulotne wiersze okolicznościowe, bajki, adaptacje, napuszone improwizacje, piosenki, wpisy do sztambucha, stylizacje ludowe, dwa niezbyt udane dramaty napisane po francusku, a przede wszystkim publicystyka, wykłady paryskie i krytyka literacka.

Wymienione utwory poetyckie są niewątpliwie arcydziełami, podobnie jak *Dziady* i *Pan Tadeusz*, ale arcydziełami, niestety, skutecznie zinfantylizowanymi przez szkołę. Nic też dziwnego, że tak rzadko sięgamy do nich w latach dojrzałych, złudnie zawierając tamtym pierwszym interpretacjom. Z poezji Mickiewicza najwyżej ceniłem zawsze *Sonetny krymskie*, może dlatego, że jest to cykl perfekcyjnie zakomponowany – pod tym względem nie mogą się z nim równać inne wiersze, łącznie z *Balladami i romansami*, gdzie obok pieśni gminnych znajduje się programowa *Romantyczność*, obok naiwnego *Pierwiosnka* przekład *Rękawiczki* Schillera, obok „bajki” o pani Twardowskiej podzielony na głosy *Kurhanek Maryli*. Od „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu” (wers ten w szkole był dla mnie magicznym niemal zaklęciem) po „Z których wieku uplotą ozdobę twych skroni” (z *Ajudahu*) sonety, poświęcone „towarzyszom podróży krymskiej”, rozwijają się w osiemnastocinkowy serial przygodowy: Dniestr, Morze Czarne, zachodnie i południowe wybrzeże Krymu. Cykl, nawiązujący do *Dywanu* Goethego z 1819 roku, pefen orientalnych inkrustacji, nie tylko pozostaje w pamięci dzięki takim skrzydłatym słowom, jak „Hydra pamiętek”; „Jedźmy, nikt nie woła!”; „Wiem, co to być ptakiem”, ale przede wszystkim dzięki misternemu, a jednocześnie naturalnemu połączeniu notatek z podróży, bardzo wówczas egzotycznej i tajemniczej, z opisem

własnego stanu ducha („Podobnie na twe serce, o poeto młody! Namietność często groźne wzburza niepogody”). Widzę w tym autentyzm i głębię przeżycia, czego nie ma w historyjkach balladowo-romansowych ani w takich wierszach, jak *Zaloty* czy *Królowna Lala*, nie mówiąc o bardzo licznych przeróbkach Byrona, La Fontaine’a, Horacego czy Goethego.

Z *Liryków lozańskich* lubię najbardziej *Nad wodą wielką i czystą* oraz *Polały się tzy*. Ostatnia strofa pierwszego liryku z niezapomnianą puentą „Mnie płynąć, płynąć i płynąć” jest rzadkim u Mickiewicza przykładem poetyckiego skrótu, oderwanego od narracyjnej opowieści. Jak wiadomo, Mickiewicz namietnie fabularyzował, opowiadał, przedstawiał historie. Tak jest nie tylko w powieściach poetyckich i *Panu Tadeuszu* (właściwie też powieści), lecz niemal we wszystkich jego wierszach, poematach, balladach, elegiach, sonetach i romansach, w których roi się od wydarzeń, scen, bohaterów i dialogów, natomiast mało w nich poezji. Niewątpliwie Mickiewicz był jednym z najciekawszych prozaików tamtej epoki, choć i jemu zdarzały się niewiarygodne kixy w rodzaju: „Tak płaczącej pannie Lali przyszła myśl dzika, / Ażeby pójść wreszcie za mąż choć za kuchcika” (*Królowna Lala*), czy „Rozwałęsana jego w tych dymach się błąka / Samotna i ponura myśl, na kształt pająka” (*Pan Baron*) etc., etc.... Takimi opowiadaniem są utwory z najwcześniejszego okresu (*Mieszko. Książę Nowogródka, Pani Aniela, Dziewica z Orleanu, Kartofla*), ale i z lat czterdziestych (*Żona uparta, Pan Baron, Królowna Lala*). Nic więc dziwnego, że *Polały się tzy* i *Nad wodą wielką i czystą* czytam jako coś nietypowego i nie skłamanego: z jednej strony jako wyraz osobistej klęski, zapis jednostkowego, niepowtarzalnego doświadczenia, a z drugiej jako metaforę ludzkiego losu.

Ballady i romanse wyraźnie się przeżyły, za godne lektury uważam tylko *Swież* i *Świteziankę*, bo wpisana w nie tajemnica nadal pociąga czymś dalekim i cudownym, w odróżnieniu od tych wszystkich orientalnych stylizacji w rodzaju *Farysa, Almotenabbiego* czy *Szanfarego*, które nie dorównują mistrzowskiemu, o dziesięć lat późniejszemu *Ojcu zadżumionych*. Z okresu emigracyjnego, w którym wierszy powstało już niewiele, poza lirykami z Lozanny, od czasu do czasu czytam *Redutę Ordon*, choć muszę przyznać, że wolę perfekcyjną analizę Kazimierza Wyki od samego utworu, pędzącego w podręczniku do klasy siódmej żywot skarłały i absolutnie niepoetycki. Poruszyłem tu niechcący problem ważny i ciekawy. Jakże ciekawsza dla mnie jest lektura dobrych, odkrywczych tekstów o Mickiewiczu, od samych, dawno poznanych, utworów Mistrza. Wolę czytać i rozkoszować się studiami Marii Janion, Stefana Chwina, Jarosława Marka Rymkiewicza, Aliny

Witkowskiej czy Stanisława Rośka niż sięgać po raz wtóry czy kolejny po tom pierwszy *Dzieł wszystkich* (choć ktoś, kto ma dzieci, nieustannie to musi czynić, ponaglany przez szkolne wymogi).

To oczywiście nie oznacza, że nie lubię sobie przypomnieć ładnej *Niepełności*, przerobionej na piosenkę, bo to w istocie wcale nie romantyczna piosenka („Kiedym dla ciebie tę piosenkę składał”), czy fragmentów, właśnie fragmentów! *Konrada Wallenroda*, zwłaszcza gdy wgrzyzam się w kolejną książkę o wallenrodyzmie. Ale tak naprawdę Mickiewicz to dla mnie *Dziady*, bo to kwintesencja romantyzmu, na każdym poziomie, literackim i światopoglądowym, a jednocześnie bezsporne osiągnięcie, przede wszystkim poetyckie, naszego Adama. Owe „poema”, utwór nawet poprzez swoją niecodzienną strukturę wewnętrzną skomplikowany i bogaty, niejednorodny i uciekający od jednoznacznych interpretacji, to – wraz ze wszystkimi komentarzami, objaśnieniami, wstępami, dedykacjami i *Ustępem* do III części – rzadkiej urody dzieło sylwiczne, kopalnia wiedzy o Litwie, pokoleniu filomatów, polityce rosyjskiej i poglądach samego Mickiewicza „na dzieje męczeńskiej Polski”.

Do *Pana Tadeusza* z kolei nie mam przekonania. Tradycja patriotyczna kazała nam czytać „te księgi proste jako ich piosenki”, jako relikwiarz narodowy, najwyższej próby epopeję polską, zrodzoną z tragicznej tęsknoty za ojczyzną, gdy w istocie jest to świadoma próba – o czym zresztą autor mówi w *Epilogu* – nawiązania do *Wiesława*, powieści-sielanki Kazimierza Brodzińskiego, którą „czytano nieraz pod lipą na trawie” na początku lat dwudziestych. Mickiewicz jest tu tylko naśladowcą, kontynuatorem, przenosząc realia podkrakowskie na Litwę i idyllę wiejską poszerzając o historię szlachecką. Te księgi rzeczywiście „złądziły pod strzechy”, ale przecież nie ze względu na swoje nieprzemijające walory artystyczne, tylko dlatego, że posługują się prostotą przekazu o „kraju lat dziecinnych”: romansową fabułą, czytelnym przesłaniem, barwnym opisem świata bożego i wcale nie romantycznym umiłowaniem przeszłości. Gombrowicz powiedziałby: powieść dla kucharek i miałyby rację: „W końcu sekret kucharski: ryba nie krojona, / U głowy przysmażona, we środku pieczona, / A mająca potrawkę z sosem u ogona”. Dzięki tej popularności istnieje u ludu polskiego przekonanie, że – narracyjny w istocie – wiersz *Pana Tadeusza* jest najwyższą, trudną do powtórzenia formą poezji. Takich pomysłów mickiewiczowska tradycja przekazała nam co niemiara!

Coraz bardziej skłaniam się ku tezie, że prawdziwy Mickiewicz to naukowiec i publicysta. Wystarczy przypomnieć sobie takie eseje, jak *Goethe i Bajron*, *O krytykach i recenzentach warszawskich*, *O poezji romantycznej*, czy artykuły z „Pielgrzyma Polskiego” i „Trybuny Lu-

dów”, aby dojść do wniosku, że był świetnym krytykiem literackim i polemistą. Jego prace historyczne, jak *Pierwsze wieki historii polskiej* czy *Święty Wojciech*, a przede wszystkim niepowtarzalne *Wykłady lozańskie* i paryskie o literaturze słowiańskiej (1839-1844), mimo wielu błędów i potknięć, charakterystycznych dla tamtej epoki, przynoszą dzieło zwarte, rozpoznane przez mędrca szkiełko i oko. Mickiewicz był zwierzęciem politycznym, świadczy o tym nie tylko zawiązanie Zastępu Polskiego „w celu wrócenia do ojczyzny”, ale jego śmiała publicystyka polityczna, łącznie z pismami filozoficzno-religijnymi, które z nią były powiązane („Bez Napoleona byłoby dla nas niepodobieństwem poczuć Mistrza”, jak pisał w Kole Sprawy Bożej). Ta zmiana proporcji w recepcji Mickiewicza wydaje mi się konieczna. Inaczej nie zrozumiemy drogi, jaką przebył z Nowogródka do Stambułu.

Urszula Kozioł

O panu Adamie

Ilekoć mówi ktoś o Mickiewiczu, w pamięci zaczyna mi się najpierw kolebać ta jego furtka, ogrodowe drzewiczki puszczone w permanentny już ruch, niczym owe tworzone dla zabawy oczu mobile; a pchnięte w wieczne rozkołysanie tyleż za sprawą biegnącej ogrodniczki-Zosi, co i przez nad wyraz udatne, cudownie umiejscowione dwie średniówki, niczym przez dwa oddechy nabrane w płuco wiersza po piątej – i w ślad za nią zaraz po siódmej średniówce (gdzie zresztą było jej słuszne miejsce, jak przystało na regularny trzynastogłoskowiec).

Tylko co wyszła – jeszcze – kołyszą się drzewiczki.

Ja to je s z c z e wprost uwielbiam. Dodatkowy zapis w pamięci: karbidowa lampa, na stole stos podartych, prążkowanych pończoch, które z siostrą cerujemy, czas – jeszcze (tuż?) przed wysiedleniem Zamoj-szczyzny: matka lub ojciec (obydwoje znakomicie recytowali wiersze, stale prowadzili jakieś przyszkolne teatryki w pipidówkach), więc przy tym domowym stole czytali na głos, w tym jeszcze czasie w domach na głos czytywało się sobie i dzieciom to czy tamto. Stąd w tytule „Pan Adam”, bo (na równi z Janem Kochanowskim) był w moim rodzinnym domu prawie domownikiem.